



Anna Kąrwowska

KRZYWDA

KRZYWDA

Wydawca



Starostwo Powiatowe w Słupsku

Redakcja

Zbigniew Babiarz-Zych

Wybór, opracowanie tekstów i podział na rozdziały

Czesława Długoszek

Projekt okładki Skład komputerowy

Artur Wróblewski

Zdjęcia

Jan Maziejuk

Nakład: 250 egz.

Wydanie I (Nie do sprzedaży)

Copyright by Anna Karwowska

ISBN 978-83-60228-63-0

Słupsk 2015

ANNA KARWOWSKA

KRZYWDA

Słupsk 2015



SERCE NADGRYZIONE NADZIEJĄ

Wiersze Anny Karwowskiej od kilku lat zajmują znaczące miejsce na mapie regionu słupskiego. Tomiki debiutanckie - „Kocie łby” (2010) i „Nawet ptakom zabrano nuty” (2014) odnotowała prasa regionalna, w tym „Dziennik Bałtycki. Rejsy” (13.06.2011) piórem Barbary Szczepuły. Debiut mieszkanki Dobieszewka, byłej dojarki w miejscowym pegeerze, zainteresował dziennikarkę z powodu wyrażanej śmiało i szczerze tęsknoty za dawnym życiem w ostoi PRL-u, jakimi były w powszechnej świadomości pegeery. Dlatego reportaż o Annie Karwowskiej traktować można jako studium społeczne, a cytowane wiersze jak opis „życia po życiu” w pegeerze. W tym samym czasie, to znaczy w roku 2011 Wydawnictwo Krytyki Politycznej opublikowało „Reportaże z czasów PRL-u. Mulat w pegeerze”. We wstępie zatytułowanym „Trzeci wymiar” Krzysztof Tomasik pisał o „dwóch narracjach o PRL-u”. Pierwsza posługiwała się hasłami - kluczami opisującymi „zbrodniczy system”. Drugi sposób mówienia był bliski filmom Stanisława Barei. I dodaje, że obie narracje pomijają najbardziej zwyczajny, ludzki wymiar tamtego czasu. Ludzie pracowali, kochali się, wychowywali dzieci, mieli swoje marzenia i tęsknoty.

W tak pojmowany „trzeci wymiar” wpisuje się tomik wierszy Anny Karwowskiej „Kocie łby”, który zauważyła również Barbara Pietkiewicz w artykule „Poetka, która opiewa PGR. Zgaszono mnie jednym pstryknięciem”. (Polityka.pl/20.08.2011) Znana dziennikarka rozmawiała z wójtem gminy Eugeniuszem Dańczakiem o sytuacji byłych pracowników pegeerów, cytowała wiersze Anny Karwowskiej i opowiadała o jej życiu. I dziwiła się, że „Anna pisze w wierszach, dlaczego było super: stała praca, nie żadne na czarno, co miesiąc wypłata, wycieczki do miasta, dyplomy (...). I bliskość wśród ludzi, której teraz nie ma, każdy żyje sam sobie”.

A Anna Karwowska jest poetką. Jest poetką w sposobie widzenia i przeżywania losu i opisywania własnego świata. Jest poetką świadomą własnej roli, znaczenia poetyckiego słowa i odpowiedzialności za nie. Píše „W wielkiej sprawie”:

*„Te słowa są w wielkiej sprawie,
W sprawie popegeerowskich ludzi,
Którzy obsiewali polne zagony
Ziarnem, wiarą, pełni nadziei”.*

„Krzywda” jest trzecim tomem wierszy Anny Karwowskiej. Poetka pozostała wierna tematowi, czyli sprawom, które zna i rozumie, o których pisze szczerze i prosto. „Wydawać by się mogło, że kto opiewa w wierszach miniony PGR, kto skończył naukę na podstawówce, sypie częstochowskimi rymami. Ale nie, wcale nie.” - pisała o poetce z Dobieszewka Barbara Pietkiewicz w cytowanym wcześniej artykule. Kreowany przez Annę Karwowską świat przedstawiony, nasycony realiami codziennego życia, został osadzony w konkretnej przestrzeni geograficznej, przyrodniczej, społecznej, rodzinnej, osobistej. Motywy splatają się, słowa nabierają nowych znaczeń, język codzienny podlega metaforyzacji, a prosty biały wiersz nienumeryczny staje się wołaniem, oskarżeniem, manifestem:

*„Wierszem jest wieś,
Moje życie, życie innych ludzi
I pegeeru herb złamany”.*
(„Temat”, s. 11)

Słowo jest dla A. Karwowskiej punktem wyjścia: „zaczęło się od prostych słów”, „spaliły się słowa”, „przekupiono ich nienarodzonym słowem”, bo pisze w innym wierszu: „chcę, by słowa nie były dławione”, są też „słowa obłudne, co kłamią”, mimo to poetka „słówek w ucho nie kładzie, nie przeprasza, żyje, po imieniu wszystko nazywa”, a w „domowej przestrzeni metafora ciszę w ciężar zamienia”.

Świadomość wag poetyckiego słowa, poszukiwania formalne w wierszach podporządkowane są celności, sile i jasności wypowiedzi. Autorka wiersza „S.O.S” czyni z wiersza oręż, którym pragnie odzyskać utraconą godność i nadać sens codzienności.

Jedność, właściwe zawężenie tematu do spraw małej wiejskiej społeczności, wydeptanego progu domu, o którym pisze, a który ma wartość metafory, nie ogranicza

uniwersalnego charakteru poetyckiej wypowiedzi. Temat uszczegółowiony realiami wiejskiego życia niesie uniwersalne przesłanie o wartości każdej pracy, jako wyznacznika godności i szacunku.

Może pojawić się zarzut, że autorka „Krzywdy” mitologizuje przeszły czas, rzeczywistość, która wówczas przeżywana, wcale nie wydawała się rajem, że to tylko poczucie starty nadaje mu ów arkadyjski wymiar. Lecz zarzut pali na panewce, autorka bowiem świadomie stosuje zabieg pozwalający na wyraźne skontrastowanie dwu rzeczywistości, jakich osobiście doświadczyła. „Dawna wieś to już baśniowy dźwięk, zmieniono wystrój”. Pochwała ciężkiej pracy w polu, w oborach i chlewniach w wierszach poetki z Dobieszewka jest obroną wartości, w które wierzyli prości ludzie. Rozpad tamtego świata stał się upadkiem - dosłownym i metaforycznym - ogromnej rzeszy ludzi, o których godność upomina się Anna Karwowska.

*„Prosty człowiek jest jak drzewo
Został niczym skrzypce bez strun,
W ręce chwytą pustkę,
W której kiedyś płynęła jasność,
I białe - czerwona fruwała chorągiew”.*
(„Ktoś znikąd”, s. 17)

Bohaterami wierszy w tomiku „Krzywdy” są „nędzni, zgorzkniali”, którzy nie mają „żadnych pytań do polityków, do władzy”. Nowa rzeczywistość dzieli ludzi na biednych i bogatych, na my i oni, wbrew nadziejom. Rozpadł się dawny, stabilny, choć niedoskonały świat, zerwały się więzi sąsiedzkie, społeczne, zdevaluowało się pojęcie ojczyzny, która dzieci wysyłała za chlebem w obce kraje, nawet wiara w Boga nie wydaje się pewna.

*„Gdzie On może być?
Dlaczego milczy?
Gdy grzech rośnie na ziemi
Jak ziele w ogródku -
Przecież zmartwychwstał.
Gdzie mam go szukać?
(„Gdzie on jest?”, s. 72)*

Opisywany świat, przeniesiony w sferę literackiej fikcji, pozostaje jednak realnym doświadczeniem autorki, jej pokolenia pięćdziesiąt plus z małych wsi i miasteczek, ludzi wykluczonych, pozostawionych samym sobie na marginesie przemian ustrojowych. Nie tylko status społeczny i ekonomiczny, choć i ten problem podejmuje poetka, decyduje o poczuciu wykluczenia. W dotychczasowym systemie wartości praca była źródłem satysfakcji, społecznego uznania i wspólnotowego doświadczenia. Pozostała pustka, tym bardziej dominująca, że ziemia - dotychczasowy archetyp domu, ojczyzny, dobrobytu - stała się towarem, przedmiotem spekulacji lub leży ugięciem.

*„(...) ziemię rozszarpują obce narody, (...)
Miejsca mało zostało - zepchnięto ludzi,
Cały zaszczyt - to krzaczek dzikiej róży,
Gdzieś w przydrożnym rowie”.
(„Polska ziemia”, s. 36)*

Tomik wierszy „Krzywda” obejmujący sześćdziesiąt trzy wiersze skomponowany został, jako tryptyk: Krzyk żurawi, Brzemie życia, Wiersze rozproszone. Motywy społeczne łączą się z osobistym przeżywaniem nieuchronności przemijania, nostalgią, poczuciem straty. Ocaloną wartością, jedyną stałą i niezmienną, jest przyroda w całym swym bogactwie świata roślin i zwierząt. Ptaki, motyle, drzewa, kwiaty i trawy to bliscy krewni, o czym Anna Karwowska pisze w liryku „Moja krewna...”. Niezmienne pozostają przywiązanie do rodzinnej wsi, szacunek do dawnych jej mieszkańców i pomorskiej ziemi: „Bez historii cóż by była warta wieś, Ojczyzna”.

„Jak pisać...” pyta Anna Karwowska w jednym z liryków. Własna, oryginalna ars poetica, ale i świadomość niedoskonałości warsztatu towarzyszy poetce z Dobieszewka, która mimo to z powodzeniem zmagą się z materią wiersza. Odwagą i niezależnością oglądu spraw zdobywa Czytelników. Jej wiersze stają się rozliczeniem z przeszłością, próbą scalenia słowem obrazu mijającego i nowego czasu, i poszukiwaniem drogi w przyszłość.

Czesława Długoszek

ŻURAWI KRZYK

TEMAT...

Tematu do mych wierszy
nie szukam w sklepie, muzeum,
w kościele na mszy,
ani w wielkich dniach.
Niestety rymu w nich nie ma
za to jest czarna ziemia,
którą zagarnęła chciwa łapa
i krzywda zatulona w powiekach.
Wierszem jest wieś,
Moje życie, życie innych ludzi
i pegeeru herb złamany.
Słowa czasem ozdobione są
zielonym liściem nadziei -
to one szlifują kamienie
na pomnik dla wszystkich
i moją myśl,
co wciąż o tym pamięta.

Wrzesień 2013 r.

W WIELKIEJ SPRAWIE

Te słowa są w wielkiej sprawie,
w sprawie popegeerowskich ludzi,
którzy obsiewali polne zagony
ziarnem, wiarą, pełni nadziei,
że obdzielą ich sprawiedliwie.
Gdy zaszumiały złote kłosy
pola zapachniały chlebem,
wrony w rękawiczkach zabrały wszystko
i w górę wzniosły okrzyki.
Za te ciężkie długie lata,
za trudy, troski
bilet wilczy dostali,
dzisiaj latem ich ręce kostnieją
i krzywdą karmią ich noce.
Cicho pokornie znoszą swój los,
gdy słońce zaiskrzy wiosennie,
ku polom kierują swe jęki,
pracy, chleba im poskapiono
i na „Wiejskiej” zapomniano.
Do władnych tym światem
wyciągają pomarszczone dłonie,
nie chcą liścia laurowego, ani sławy,
chcą godnie w swoim kraju żyć.
Czy to - jest tak wiele?

ZACZEŁO SIĘ

Zaczeło się od prostych słów
łapanych na gorącym uczynku,
kreślonych na niewielkiej kartce z zeszytu,
trochę krzywych, ale od serca - prawdziwych.
Zaczeło się tak po prostu
od pustych pokoi,
pustych krzeseł przy stole,
tęsknoty, bólu, gniewu, złości
i krzywdy wszczepionej w ciało.
Zaczeło się po zmianie w kraju,
po zmianie orłów, które drapały co się dało,
od ptaków spadających w locie
i braku chleba na stole.
Zaczeło się od nieobojętności,
nocy niespokojnych o jutro,
oddechu ciężkiego jak kamień
wiatru, który zawiewał ślady
pegeerowskich robotników,
historia o to prosiła.
Tak się zaczęło i trwa.

SERCE NADGRYZIONE NADZIEJĄ

Nad wsią świt
wsparty na stwardniałych dłoniach,
w ruinach popiół leży,
a milczenie obmyte potem.
W domu prostego człowieka
uśmiech już dawno odszedł,
ludzie żyją tylko dlatego,
by godność swoją utrzymać.
Chodzą w milczeniu wśród płotów ścieżek,
wtórują im puste chlewiki
i wiatr co wieje w oczy.
Kuchenny stół
nakryty białym obrusem - jak opłatek
w milczeniu czeka na
sól i chleb z ziemi - obiecaną,
a tu milczą kamienie,
milczy nawet Bóg.
Czyżby wszyscy zapomnieli
o sercu nadgryzionym nadzieją?

SPACER BRZEGAMI...

Od kilku lat chodzę
brzegami pól z twarzą
ochlustaną wiatrem, gniewem
potykając się o kamienie.
Gdy patrzę wokół odbiera mi mowę -
Bo nie mogę chodzić jak dawniej,
choć w znoszonym ubraniu
czuć woń zbóż i siana.
Zostało niewiele miejsca
starcza tylko, by uklęknąć,
składać ręce do nieba,
lub upaść, płakać albo przeklinać.
Tak chodzę brzegami.
Rozdzieram powietrze rękami,
czasem jakiś pies
podbiegnie, spojrzy w oczy,
pomierda ogonem - na pocieszenie.
Nieraz jastrząb wyskoczy naprzeciw,
który kiedyś oderwał skrzydła
i dzisiaj nie dopuszcza nawet Boga.

Wrzesień 2013 r.

NA KRESCE HORYZONTU

Na polnej ścieżce
jak pomnik w słońcu,
a wiatr wiąże wspomnienia.
W oddali na kresce horyzontu
widzę moją wioskę
ciężar życia wiszący
płachtę przeszłości, która
od spodu mrokiem gaśnie.
Nad kreską,
gdzie niebo łączy się z ziemią
widzę ludzi oskubanych z piór -
a nad głowami wiatr miota
białymi rękawiczkami.
Wpatrzona w kreskę horyzontu
czekam na przylot ptaków,
na człowieka, który jest człowiekiem,
na pociąg z wagonami prawdy i nadziei.

KTOŚ ZNIKĄD...

Bez zapowiedzi musieli
wynieść się z tych pól, łąk,
a przecież każdy skrawek
był nasiąknięty ich zapachem.
Wyłonił się ktoś znikąd,
Z jego oczu sączył się zachwyt,
gdy łapę kładł na wszystkim.
Prosty człowiek jak drzewo
został niczym skrzypce bez strun,
w ręce chwyta pustkę.
Nawet Bóg nic nie pomaga.
Zostało echo dawnych dni,
pamięć coraz bardziej dokucza,
powietrze stygnie, serce skrzypi
i cisza recytuje myśli.

ŻURAWI KRZYK

O pół wczesnej wiosnie,
gdy ciężkie chmury na niebie,
chłodne wiatry jeszcze wieją
one wysmukłe szyje wyciągają
i lecą do naszego kraju, naszej wsi,
by wzbudzić zachwyt dusz
i w sercu ból zagłuszyć.
Nigdy nie zawodzą
swoim głosem wiosny,
nigdy nie gardzą tutejszym światem,
od rana krzyczą polski hymn,
aż pola drgają jak skrzypce.
Wokół domów,
na rozległym obszarze pól
żurawi krzyk równy jest
głosowi człowieka do nieba,
by ludziom popegeerowskim
zmieniono los.

S.O.S

Usta, jak okno, otwarte pytaniem,
kominy dymią brutalną przewagą,
bezkarnie znęcają się i drwią,
a lata przechodzą ciężko.
Tam myślą tylko o swoich wygodach,
a nasz głos głuchy, nieśmiały
zakuwa się w kamień bez echa,
obrastając zielonym mchem.
Padliśmy złamani przez los surowy,
wołania S.O.S. nikt nie słyszy,
słowa po drodze kradną gdzieś lisy.
Kto znajdzie tę głowę mądrą,
co taką radę dała Polsce,
by pegeery czarnym kocem nakryć?
Kto rzuci okiem dokoła,
kiedy Temida zabłyśnie jasno,
aby wieś popegeerowska ostoją się stała?

CYROGRAF

Kiedys, uśmiechnięty ciągnął do pracy,
dziś z opuszczoną głową, torbą w ręku
pomalu kroczy - nie w różane ogrody,
lecz po deputat dla rodziny z „Caritasu”
i odzież zagraniczną z odzysku.
To jemu podsunęto papier
kazano podpisać „cyrograf” z gorczycą,
teraz już nie pyta o nic -
nikogo to nie chwyta za ucho.
Gdyby liczono się jak
z górnikiem, stoczniowcem
przykrość nie wydałaby tak wysokich plonów.
Drzewo piękno znajduje w słońcu
ten człowiek z tej ziemi
nie szuka już piękna w ojczyźnie.
Stracił nadzieję, a
Gierek nie chce lobbować.

PROŚCI LUDZIE

Spaliły się słowa,
słodycz w sercu rozpadła się,
miedze rozbite przez wielkie traktory
moc oligarchom sprostowała.
Prości ludzie
w gumowych butach, w drelichach
żyźnili tę ziemię, ciągnęli nadzieję
a marzenia zostały spłacone niczym.
Pola wokół domów
ogarniają prywatne obszary,
człowiek zza węgła, zza rowu i płotu
oczami błądzi po obrzeżach
dyszząc tęsknotą, wiedząc, że nigdy już
pod łukiem nieba
nie zaśpiewa „Wio koniku, wio”,
i nazywa to wszystko
swoimi słowami jak umie.

ZAORANE MIEDZE

Z tęsknotą wracają myśli
w czasy gdy szczęściem było
stawiać stopy na miedzach
oglądając kolorowe zagony pól.
Nie rośnie już jabłoń schylona,
nie cieszą się głogi i ptaki,
rumianki nie rosną już białe -
potwierdza to niebo obrazem.
Hukiem piorunów rozdrapano,
zniknęły jak plamy w światłocieniach
na karcie świata połączono palcem,
został odpoczynek przy płocie
i bezrobocie.
We śnie leży chłopski trud.
Myślą czasem o cudzie bożym,
biją dłońmi w stół zielony -
każdy cios czuje ziemia.
Rozdrapali.
Zostało życie wieść ciche i proste,
jak droga na cmentarz - gdzie spokój.

SCALONE POLA...

Na scalonych polach
o długości szyi żurawia
zniknęły miedze,
porośnięte rumiankiem i trawą.
Horyzont, asfalt, drzewa
znaczą początek, koniec,
ruch powietrza prosto w oczy
i wiatr przygania gesty pożegnania.
Poblakła mowa bez znaczenia
przejawia się w myślach - cierniem,
odchodząc do historii.
Echo dawnych pól i spraw,
w twardych słowach
utrwalone w wierszach -
pozostaną jak pajak w bursztynie,
a scalone pola
będą zawsze polem.

KLEPSYDRA

Przygasa chwila zachodu,
jedyne obłok, co lśni
tańczy i spada z okrzykiem.
Wszystko skwaśniało, jest jak
jabłko na dzikiej jabłoni.

Pokolenie pegeerów padło
za to, że ludzie cierpliwie, w trudzie
hodowali zwierzęta, siali, kosili,
znosili wszystkie przednówki -
by Wschód żył.
Stąpali ciężko krok po kroku,
po kamieniach ostrych, rżyskach,
pragnąc odpoczynku
i oto dziś odpoczywają,
a żołądki codziennie grają
pieśń „Boże coś Polskę...”.

W popiele leży chłopski trud,
daremnie wołają pomocy
słowa ubogie, ciche jak głazu milczenie.
Wielcy łaskawcy -
uszcześliwili ich wbrew woli,
przynieśli dobrodziejstwo, które boli,
zasiali i dalej sięją złote ziarno w glebę,
a zgroza nie może się nadziwić.

Bez kajdan spętano w kajdany,
człowiek wciąż chyli umęczone czoło,
nikt nie słyszy skarg,
wszyscy żałują, lecz nie widać pomocy,
tylko w gmachach z marmuru i stali
wielkimi literami, flamastrem,
malują klepsydrę która
wisi ciągle nad głowami,
a los przeznaczenia kreśli w czarnej księdze,
jak codziennie resztki
odchodzą świeżym łupem
i na głos „Ojczyzna” serce się wzrusza.

DLACZEGO?

Wszystko co wypracowali
nic nie znaczy - czekają w pokorze,
drapiąc resztki cicho jak mysz,
to co zostało po orłach.
Praca zawieszona na kołku,
chodzą po czworakach szukając miejsca
i kromki przyszłej strawy.
Za nimi idzie wyszczerbiona gwiazda,
wlecze puste dni z kruszejącym
kamieniem gniewu i żalu.
Nikt o nich nie pyta, nie pamięta,
nie chce - są niepotrzebni,
ich sprawy zasypuje gruz, zarasta mchem,
co wiosna, żdźbła trawy przerastają ciała.
Miało być pięknie,
a tańczą tylko łysi, brodaci
wokół wspólnego dobra.
Zostało to co w milczącym słowie -
skaczące ciśnienie
i zapach ziemi między zębami.
Dlaczego?

ILE ZOSTAŁO...

Pomału ulatnia się tamto powietrze,
kamienie obrastają zielonym mchem,
mało kto mówi o pisku świń w chlewiku,
cuchnącym łajnie krowim, pianiu koguta
co dzień nad ranem.

Niewielu ma nadal ochotę
iść w iskrach zbóż na kolanach,
w drelichu na zielonej łące,
napawać się zapachem
wiatru polnego i skoszonego siana.
Pamięć u niektórych sączy się jak rana,
topnieją pożarci -
do końca pewnie zostaną,
tylko z obrazem pod powieką
i z imieniem pisanym małą literą.

MIAŁO BYĆ...

Przekupiono ich
nienarodzonym słowem,
szczerością oczu,
mową - niby prawdziwą,
słodką herbatą,
tanim kotлетem w barze,
tak jak rybę robakiem,
a dziecko lizakiem.
Przekupiono czystą wodą,
kabzą wypchaną po brzegi
i błękitnym niebem bez kłamstw.
Przekupiono ziemię,
która miała być
jak wyśniony wiersz
z ozdobnymi wersami.
Przekupiono ich doszczętnie,
czym tylko się dało,
po latach zaszczone serca
krzywdą pękają
i siedzą jak zwierzęta w klatkach.
Teraz będzie trudniej -
nikt z ambony ani z pałacu ich nie otumani.

IDZIE CZŁOWIEK...

Idzie człowiek,
na barkach wielkie życie dźwiga,
nogi wlecze jak koń od pług
i szklanymi oczami mruga.
Idzie obok pól,
po których pot jego spływa,
gdzie prostował swój kark
do samych gwiazd,
torując koryto nowym czasom.
Serce oddał Ojczyźnie
pragnąc urodzaju,
został ugorem we własnym kraju.
Może ktoś dzisiaj - nie ja,
pióro w promień przemieni,
oświeci rubrykę
tego człowieka w „Księdze Dziejów”,
któremu w ramach rewanzu
wszczepiono krzywdę.

KIM JEST TEN CZŁOWIEK?

O każdej porze roku
pytałam Boga, pytałam księżycy,
promieni słonecznych, wiatru w polu,
pytałam też ziemi - tej sprzedanej:
Kim jest ten człowiek -
który wyrzeźbioną klamką otwiera drzwi,
ludzkim losem kieruje,
gdzieś gubi drugiego,
nawet Rzeczpospolitą?
Kim jest ten człowiek -
co chodzi jak myśliwy,
zabija fabryki, szkoły, pałace,
grzebie jak grabarz, ziemię
ubija na gładko
czarując, że w tym miejscu
wyrośnie przyszłość obywateli?
Kim jest ten człowiek -
co w dobie kataklizmu
nie widzi - a powinien,
że w domach ludzie siedzą
przy kulawym stole,
nad pustym talerzem,
z twarzą w dłoniach, bez pracy,
który zbyt tanio szacuje życie ludzkie,
wygłasza mowy - niby z troską,
lecz nic z tego nie wynika?
Czy wie, że taki człowiek to
klęska w kraju i przyrodzie?

LUPY...

Ze wszystkich stron
w głos śmieją się lipy,
lśnią jak lustra
i kielichy podnoszą - pod niebo.
Ostre ich spojrzenia
zrywają płaszcz godności,
dawna wieś zanika,
człowieka puste dłonie
podnoszą puste dni.
Pod butem skomlą nadzieje,
garście nieładnych słów
spadają jak grad,
a zdobywcze łupy
władze trzymają mocno.

DUŻY PTAK

Żadnej chmurki - dzień słoneczny,
ptaki małe gdzieś się schowały,
po błękitnym niebie buja ptak duży,
jak orkan do niszczenia siły.
Nad ziemią, ponad domami
ptak ten drapieżny
zagarnął wszystko co mniejsze miały
i w tej przestrzeni tak sobie śpiewa
swój hymn zwycięski.
Na pewno, gdy Bóg się przebudzi
zgaśnie dzień olbrzyma,
gwałtownie padnie na oba skrzydła,
wtedy ziemia zakwitnie pośród błękitu,
miliony ptaków na jego cześć
zanucą radosną pieśń.
Dobry to będzie znak.

PROSTACZEK

Nie drżij jak kret na słońcu,
nie rycz jak jeleń w czasie rui,
wyrwij się stąd - nie trzymaj się
obiema rękoma tej ziemi,
nie masz jej dla siebie,
możesz tylko popatrzeć.
Ten obraz, co masz przed oczami
i ta droga - prowadzi w zaulek.
Nadzieję już diabli wzięli,
kłamstwo chyba nie umrze,
a Oni dalej mówią i mówią.
Ty słuchasz cierpliwie i nie wiesz,
że już nie przydasz się na tej ziemi.
Jesteś zwykły prostaczek,
nie masz szerokich pleców,
zwycięstwo dla ciebie odległe
musisz płacić za troski i sidła -
w które sam się złapałeś.
Czy przyszło komuś na myśl,
że kwiaty potrafią wyżywić
motyle i pszczoły,
lecz człowiek - nie może zrozumieć
drugiego człowieka.

PYTANIA...

Kto z niedogaszonych zgłiszczy
ostoję zrobi,
wykopie studnię z czystą wodą
i chleb upiecze z mąki...?
Kto udźwignie góry przeniesione,
rozjaśni lawiny czarnych myśli
i nadzieje dawne w kampaniach?
Kto zmierzy przebyte drogi,
wylany pot na skroniach,
w sercu gorycz zrozumie
i tęsknotę za przeszłością uspokoi?
Kto upomni się o nich
uściśnie dłonie,
policzy martwe skowronki,
które padły w locie?
Kto odpowie na te pytania?

DRZEWO HISTORII

Wieś staje się cieniem,
mgła płynie obszarem nieba,
trudno w niej odróżnić
kłamstwo od prawdy.
Nie można powstrzymać
zwycięskich rąk,
zostało już kilka metrów
powietrza nad głową,
przygięty mur,
sowie dzioby na dachu
i oddech trwalszy niż kamień.
Gdy świt powieki otworzy,
słońce ukradkiem zerknie okiem,
wtedy wyraźnie można zobaczyć
jak rośnie drzewo historii.

POLSKA ZIEMIA

Na wschód, na zachód
ziemię rozszarpują obce narody,
plugi rozstawiają na każdym polu,
ich zapach rozchodzi się wkoło,
jak woń fiołków po deszczu.
Wiatr szumi smutno uginając kłosa,
słysząc westchnienie i jęk spod trawy,
miejsca mało zostało - zepchnięto ludzi,
cały zaszczyt - to krzaczek dzikiej róży,
gdzieś w przydrożnym rowie.
Wychodzę popatrzeć - ale z dala.
Już nic nie znaczą żelazne słupy,
na głos „Polska” serce się wzrusza -
wszystko znika,
po blasku zostały cienie,
smętny ślad jednak zostawiła dusza,
a pamięci nikt nie zdoła wydrzeć.
O ziemio, czy jesteś szczęśliwa?
Gdzie twoi obrońcy?

BEZROBOTNA...

Marzyła,
o wszystkich urokach życia,
ale zgaszono ją jednym pstryknięciem -
tak jak się gasi żarówkę,
pozbawiono światła, złudzeń, nadziei,
legalnie - zgodnie z prawem, za wiele lat pracy.
Za prędko wyrosły dzieci i stało się -
za mało do życia, za dużo do śmierci.
Pierwsza zima - czas cienia,
w następnej omijała sklepy,
aby nie kusił zapach wędlin,
więc czysty był sklepowy zeszyt,
nie prosiła nikogo o wsparcie,
ptaki karmiła w ogródku przed domem.
Jej życie kurczyło się do wąskiego nurtu rzeki,
a gwiazdy - wciąż jednakowo świeciły.
Ciągle rozmawiała z rozpaczą,
była zmęczona myślami
jak przetrwać ten łańcuch życia,
odlecieć wysoko do nieba,
z prędkością odrzutowca.
Już pączki pęczniały na drzewach,
słońce zaglądało do okien,
ostatnia deska ratunku - to Jan S. - urzędnik
polskiego sejmu w powiecie,
spragnioną napoił słodzoną herbata,
zaświecił światelko w tunelu -
praca była od zaraz,
jedno życie zostało - czy dobrze?

PAMIĘĆ

Dawno to było,
dwadzieścia, może więcej lat,
stała obora, w niej krowy,
stajnia, konie, kuźnia,
stróż, robotnicy, dzwon,
który dzwonił do pracy i na fajrant.
Zostały zgliszcza, kamienie.
Tamten świat nie istnieje.
Człowiek jak zadra w krajobrazie,
jak ptak bez gniazda,
o wszystko pyta wiatru i trawy,
ale te pytania bez odpowiedzi,
a krzyk kamieni - bez echa.
Już inna wieś,
nocami dzwonią cienie,
człowiek obojętnie chodzi -
wystarcza tylko myśl
o ciepłym posłaniu.

BEZRADNOŚĆ

Nędzni, zgorzkniali,
nie mamy żadnych pytań
do polityków, do władzy,
oni pną się w górę, wyżej i wyżej,
my idziemy na dno
prześlągnięci kłamstwem.
Ich wypowiedzi zaśmiejają nasze głowy,
później po kryjomu wietrzymy umysły,
by nikt nie przeraził się tym, co jest w nas,
pozwalamy wtłaczać się w ich szablony
i nie widzimy nawet swej bezradności.
Tkwimy w biedzie,
nasze skarłale dusze,
krzywe ręce, zniekształcone ciała
zginą na wolności,
stajemy się obcy dla siebie
i życie traci sens.
Nic nie możemy zrobić, jedynie tylko
ukraść bliźniemu papier toaletowy.

2007 r.

BAŚNIOWY DŹWIĘK...

Dawna wieś
to już baśniowy dźwięk,
zmieniono wystrój,
inne zarządzenie
i niejeden Bóg nadaje prawa.
Spawy pegeeru umorzono,
wchłonięto sprawy chleba,
ducha sprzeciwu - odrzucono,
a głos - to rdzawy błysk.
Czoło uwieńczono liściem
zwiędłej lebiody,
tylko święty Piotr jakoś
jeszcze nie umorzył sprawy
i życie to marna racja bytu.

Wrzesień 2014 r.

KIEDY NADEJDZIE TEN DZIEŃ?

Kiedy nadejdzie ten dzień,
gdy nad ziemią otworzy się ziarno szczęścia,
kiedy wytryśnie źdźbło żywego światła
nad człowiekiem, nad jego cieniem?
Kiedy rozpędzone koła
zwolnią na każdym zakręcie,
chodzić będziemy swobodnie
i matki będą kupować ciasteczka swym dzieciom?
Kiedy nadejdzie ten dzień,
gdy ziemia od krańca po kraniec
będzie wić wieniec u czoła,
tęsknić nie będziemy zbyt długo,
miłość ludzka prawd dociecze,
bez gniewu wszystkich wyliczy, rany zagoi
a ręce Boże przygarną wszystkich?
Kiedy to będzie?

CZWORAKI

Dla tego pokolenia legendą jest,
że jak grzyby po deszczu
rosły pegeerowskie czworaki.
Szczęśliwym był ten,
kto mógł uwić gniazdko w nich
czuł się wyróżniony i doceniony.
Dzielił jeden Bóg,
który pieczę trzymał nad całą wsią.
Nastał nowy model wsi,
każdy czworak ma swojego „guru”,
z każdej strony kipi ślina z ust,
o każdej porze oko i ucho się wyteża,
sen - jak zająca pod miedzą
i zorza jałowa się stała.
Krajobraz zmieniony,
zielony kolor podwórka zanika,
koła mieszają ziemię
niby lemiesz na polu -
i tylko jedno dobrze się stało
że gumofilce po pegeerze zostały.
Ludzie nasyceni gierkowską epoką
słabną - już tylko wegetują,
z labiryntu zmieszanego z błotem
pragną się wynieść - ale dokąd?

BRZEMIEŃ ŻYCIA

ŻYCIORYS

Dzwoniło tutaj serce, w ziemię wrastało,
szumiało błękitną pogodą,
w deszczu i burzy.
Tu widziałam, słyszałam wszystko
każdy krzyk, każdą ciszę
wiem, które ptaki są przyjazne, a które fałszywe.
Pomorska ziemia jest mi najdroższa,
przeszumiało dzieciństwo, młodość,
już serce drży, lęka się nocą
i szumią skrzydła czarnego Anioła.
Kiedy już się położę - otul mnie dobrze,
zaświeć słońce błyszczące, aby dokończyć
to czego nie zdażyłam zrobić na ziemi.
Niech drzewa szumią w ogrodzie moim
o tym, co kochałam, co czułam, co bolało,
niech złocą się zboża na polach,
by dobrze było żyć innym,
niech ta pomorska ziemia
bluszczem i wierszami obrasta.

TEGO CHCĘ

Chcę karty naznaczyć człowiekiem,
wsiać co brzmi muzyką,
aby treść ukryta w słowach
witała dzień dzisiejszy,
przeszłość nie była pod nogą
i słońce błyskiem nie łamało strof.
Chcę, by słowa nie były dławione,
szczerze, przezroczyste
niczym promienie rentgena,
tego człowiek chce - jak chleba.
Chcę iść swoją drogą, nawet twardą koleiną,
jak przeznaczenia pęd,
aby szum żyta, głos ziemi
zawsze mi grał, na rozkaz sumienia.
Tego chcę.

I ZNOWU STOJĘ

I znowu stoję pod niebem obok pól,
drzewa szeleszczą napiętą zielenią,
głowa pełna westchnień,
pokłon oddaję przestrzeni.
Wiatr dmuchając zmienia barwy,
od wsi słysząc żalosny
gwar uwieczionych psów,
spękane ręce składam na krzyż
i odważnie patrzę niebu w twarz.
Obok kasztanów rząd,
liście służą im za płaszczyz,
do jednego tulę się - by
uciszył serca mego drganie.
Stoję - myśli daleko rzucam,
tęsknotę i skargi różnych spraw
zakuwam w siebie - jak stal.

JESTEM MAŁA

Jestem mała - tak mówią,
nie potrafię torować sobie drogi,
wśród wielu dróg,
wśród wielkich ludzi.
Wszystko co wielkie
omija mnie i leci w dal,
gdzie stanę, próg zimny,
drzwi zamknięte - do klamki wysoko,
słyszę śmiechy i słowa od prawdy dalekie.
Wielkim rządzi siła,
mną tylko ufność
nawet we śnie o tym pamiętam.
Jestem mała - to prawda,
ale szerokie mam plecy - by starczyły.

ZA MAŁO - ZA DUŻO...

Od życia nauczyłam się sporo -
to już historia,
teraz stoję w miejscu,
świat pędzi do przodu
jak samochody na asfaltowych drogach -
od świtu do zmroku.
Patrzę na swoje życie jak
na dno pustego kieliszka,
jak na pole - gdzie przyroda
pleni się bez początku, bez końca.
Dobiegłam lat, gdzie
żywiół cywilizacji wrze,
nie wiem, gdzie jest granica chaosu.
Szukam daremnie słów,
życie rzuca pióro litości
i widzę to czego nie powinnam.
Mało wiedzieć źle,
za dużo - niebezpiecznie.

MOJA NADZIEJA

W mieszkaniu ściany
czasem nie wystarczają,
nadzieją jest podwórko,
może ktoś powie „dobry wieczór”,
a może się uśmiechnie.
W półmierzchu siedzę na niskim
stołeczku przy chlewiku,
gdzie kiedyś pełno było zwierząt,
patrzę jak pycha i duma
rozlewa się po twarzach, jak osiada kurz
i ziemia już nie broni się przed niczym.
Okna zaczynają migotać światłem,
gwiazdy wsłuchują się w słowa,
historię kroków i głów poznają nawet
kamienie.
O północy, gdy księżyc
wychyla się spod chmur,
modlitwy zhańbione kończą się,
żarówki gasną,
a moja nadzieja
pewnie zabłądziła w ciemności.

ŻYCIE WIĘDNIE

Życie więdnie jak uśmiech piwonii,
tylko wiatr ciągle nuci
o młodości, o maju.
Dni mijają.
Lęk zamieszkał w sercu.
Życie odfruwa żurawim kluczem,
piecze w duszy od odpływów,
w lecie żal zimy, w ziemie - lata.
Życie płynie jak Wisła do Bałtyku,
kręgosłup - jak paragraf,
Życia przywilejem to zegary,
które nie zatrzymują biegu,
i usta, które wypowiadają żale.
Każde życie
odchodzi i nigdy nie powraca.

CISZA

Podchodzi ciągle do klucza,
jakby wydostać się chciała,
gdzie głosy ludzkie słychać
i błękit nieba opada.
Milczą ciężkie meble,
głowę podpierają ręce,
na stole herbata
obok anioł stróż związany
drutem kolczastym
i kilka miedziaków z emerytury.
W domowej przestrzeni
cisza w ciężar się zmienia,
ramiona z trudem ją unoszą,
tylko oczy - stawiają
czoło - okularami.

MOJA KREWNA...

Jestem krewną tej ziemi,
przygłębłam stopami do murawy -
chcąc czy nie chcąc -
język zmieszał się z tutejszym językiem -
czasem bolesnym.

Moja krewna to wieś obita polami,
pajaki, co przywiązują mnie do babiej nitki,
pszczoła, która zapyla kwiatki
i czas, co w przestrzeni patrzy zielenią.
Tutaj chodzę swobodnie jak ptak,
wężę przy niej jak pies,
a gdy księżyc po czole płynie
z mej ręki wiersz o niej wylatuje.

OGROMNY MÓJ ŚWIAT

Ponad pół wieku te same ścieżki,
ściany, niebo, twarze,
to cały mój świat.
Czasami błądzę zagubiona - doznałam wiele,
nie wiem czy jeszcze coś się zmieni.
Tu zaczyna się dzień i kończy,
raz cieszy, raz boli.
Tu wyrwano mi chleb z dłoni,
cały dobytek, wszystkie sprawy
plączą się na drzewach
pod oknem w pamięci.
Tu kałuże ślepe lśnią
w zwierciadle błękitu, błędne sny
witania, pożegnania, kroki stawiane
po szorstkim dnie milczenia,
i ten młyn, co mełł
wszystkie radości, łąy - na mąkę życia.
Ta wieś, ta ziemia
to nie wybrana - lecz przeznaczona,
nasiąknięta sokiem.
Wyjść nie mogę
bez butów ze starym zegarkiem.

ŻYCIE W DOLE

Całe życie naprężałam mięśnie,
kruszyłam lody, pruć powietrze,
przerywałam myśli, wstrzymywałam oddech,
ale została świadomość, że
pochodzę z dołu,
a przecież nie ja go wykopałam.
Próby zasypywania - nie udawały się,
wiatr owocami wiał obok,
ręce prały tylko brudną odzież,
pieniędzy odmawiali,
sumienie nie pozwalało na bank lichwiarski,
do sitwy, choć fartuch był w kwiatki - nie pasowałam,
oczy nie tym oczom ufały,
więc na koncie została darnina
i zapach obcego zboża.
Szukałam miejsca pod zasiew,
ale wszędzie słupy wysokie,
pozostałam w dole z popękkanymi kośćmi
i pełnym treści imieniem.
To wcale nie jest za mało.

GDYBYM...

Gdy mrokiem ponurym
wszystko odziane - tak sobie myślę,
że lata spłynęły
jak głos skrzypiec czy fletu.
Światu dałam, ile mogłam:
pracę, zdrowie, życie, łzy.
Zostałam z niczym.
Gdybym na świat przyszła później,
w czepku, z szerokimi plecami,
dni ubierałabym w blask jaskrawy,
znałyby tylko prawdę,
obłąd nie wypruwałby jelita.
Ludzie nie odbywaliby długich podróży,
chleb, dom byłby we własnym kraju,
- na polskiej ziemi,
a nad nim biało - czerwona chorągiew.
Chowające się orły na szczytach gór - wróciłyby,
nie spadałyby martwe skowronki,
włodarze z drwiącymi gestami
zostaliby z pustymi kielichami.
Gdybym...

TWARZE

Znam te twarze, gwiazdy,
oczy zmęczone i ten słońca blask,
arytmia życia wita codziennie
przechodzą epoki, a czas leczy rany.
Wieś się zmieniła,
dzieła dawnych ludzi
w niepamięć idą,
lecz tamta przeżyta chwila,
zostawiła w pamięci znamię.
Gdzie wesprę głowę, zwrócę oczy,
czas jak rzeka płynie,
ciągle ktoś opuszcza ziemię
i w niebo szybuje.

PODRÓŻ

To była podróż w niezapomniane dzieje.

Szłam -

niosąc i tuląc widły na ramieniu

jak jeż jabłko na grzbiecie,

ofiarnie strzegłam pól,

by mieć za co żyć.

Ludzie śnili o niebieskich migdałach,

ja pędziłam po drodze,

słysząc było westchnienia ptaków,

rosa liście na drzewach obmywała,

promień księżyca szedł przy mnie mały

i kogut czasem piał.

Szłam -

krowy czekały z nabrzmiałymi

wymionami mleka,

w domu dzieci zaglądały do garnków.

Były chwile radości,

lecz tych było mało.

Chociaż ręce bolały, puchły kolana,

ziemia unosiła się, młoda.

Teraz w kołysce nocy szukam tamtych dni,

błękitnych jabłoni, uśmiechu dzieci

i „trzynastek” na koniec roku.

Nie znajduję.

Próbuję wyrównać czas terazniejszy,

ze skrzepem w mózgu,

z echem zmiętego żalu.

Ciągle jestem w podróży

w niezapomniane dzieje.

NIE WOŁAJ MNIE

Nie wołaj mnie
do śpiewania piosenek,
nie mam już głosu,
wiatr go rozwał,
deszcz radość zmył.
W głębi serca prządka
wyrabia nić owiniętą
tęsknotą okrutną -
stać mnie tylko na milczenie.
W młodości los się uśmiechał,
piosenki były na dłoni,
dziś słowa nuce - ale po cichu,
którymi tęsknię i żyję.
Nie wołaj mnie do śpiewania -
wolę łąki ukwiecone,
na nich krowy, owce gryzące trawę,
pole szumiące kłosami,
w nich chabry błękitne.
Nie wołaj mnie do śpiewania,
moje śpiewanie - to cisza
jak głos łabędzia.
Nie pytaj - dlaczego?

JUŻ NIGDY...

Już nigdy
nie będę jak sprzed lat,
gdy mistrz fotografii
uwiecznił urok młodości.

Już nikt
nie przytuli, nie przycisnie mocno,
nie spojrzy w oczy - nawet dla żartu.
Słodko już nie jest,
miód z ust doszczętnie wylizał czas.

Już nigdy
nie będę chodzić po polu, gdzie pot oczy zalewał,
sapać przy ciężkich snopach zbożowych.
Pług skibą przykrył ślady
i oto siedzę na ciasnym podwórku
częstując wodą ludzi zmęczonych wędrówką
i słowami spisanymi żalem na białym papierze.

Już nigdy
nie będę radować się,
na karku ciąży brzemie życia,
a w łagodnym świetle rozkwita
srebrna nić na skroni.
Pozdrawiam tamten czas.

TRZYMAM W DŁONI...

Trzymam w dłoniach swoje pół wieku
ze srebrnym VAT-em na głowie,
które powiało historią.

W krajobrazie wsi
życie rosło twardo, krzepło w trudzie,
tężało w polu, słońcu, burzach,
błyskach oczu, w przyjaźniach dzieci,
które brały się za ręce.

Na tej pomorskiej, małej wsi
aromat młodości wydziela
każdy kamień, krzew, każdy chwast.
Czas różgę jaśminu ściał,
wystrugał, wygładził - i jako
ołówek w moje ręce włożył.

JAK PISAĆ...

Jak mam pisać składnie i pięknie -
jeżeli nawet nie stałam przy profesorze,
ja tylko schylałam głowę wieczorem
nad czystym papierem, w głowie szukam słów
o przeszłości, która zmienia się w gruz,
o dziejach ludzi wczoraj i dziś.
Jest mi trudno, lecz
nie mogę być ślepa i głucha,
gdy słyszeć zgrzyt zębów
i krzywdy są jawne.
Te wiersze słabe, niepoetyckie - stoją obok - wiem,
lecz żyją tam, gdzie najtrudniej,
łamią kłamstwo, pychę,
nigdy nie zdradzają Ojczyzny,
choć niezabliźnione noszą rany.
W świecie jest
bogaciej, młodziej, jaśniej,
czas notować, by nie zatarł się
wczorajszy dzień
i korozja nie zjadła pamięci.

ZEGAR

Mój zegar wciąż odlicza godziny i bije.
Lata płyną jak woda cicha.
Moje serce tęskni i wzdycha.
Świat mój - to świat zatracony.
Po samotnej idę drodze,
co rok z nowych kwiatów,
spijam balsam jak motylek,
garnę myśli
i do wierszy zbieram słowa.

WYROK BOŻY

Często przez okno patrzę ciekawie
jak wieś zmienia swe barwy
jak motyle miód piją z kielichów
i pola kwitną kłosami.

Moje życie to prawie ruina
jutro do mnie już nie należy
nie łapię zdobyczy ni słów
napój życia wszystko odpycha
i pomału usuwa mnie w cień.
Apelacji składać nie będę
muszę zgodzić się z wyrokiem bożym
i cicho siedzieć - niby
pod ojca okiem.

WIERST
ROZPROSZONE

CZYJA TO WINA?

Za domem ogród, łąny pól,
przed domem - podwórko,
w jego środku, pośród zdeptanych traw,
żółtych mleczy ptak zraniony
wlecze skrzydła - lekko i ostrożnie.
Oczy mruży na słońcu,
wszystkie spawy zagłusza wierszami,
choć na duszy słony osad zostaje.
Słówek w ucho nie kładzie, nie przeprasza, że żyje,
po imieniu wszystko nazywa,
niczym się nie chwali, kawy nie pije,
więc nie mieści się w ramce.
Nic dziwnego - można to zrozumieć.
Tyle potknąć w życiu -
ciagle wierzy w człowieka
myśli, że podanie ręki to życzliwy gest...
I czyja to wina, że tak często się myli.

W PAMIĘCI...

Jaka to wielka szkoda,
że w tym pięknym wieku
wśród żywych już ich nie ma,
nie mogą obejrzeć swego dzieła,
nawet w dzień świąteczny.
Z najdalszych krańców Polski
przyjechali tu, na Pomorze,
często pod przymusem, z akcją „Wisła”,
by orać skąpe pola wśród mgieł i chaszczy.
Kraj obiecał im tę ziemię,
tłumy robotników kłębiły się
jak lwy w ataku na polach -
wiele lat mając nadzieję na...
Władza spoglądała z zachwytem
co rok podnosząc plan.
Nie kryjmy prawdy przed światem,
że nasi przodkowie swymi dłońmi
utorowali nam drogę do kapitalizmu.

GWAR...

Nie ma już stuku kopyt,
kogut nie budzi o świcie,
mgła zmyła, co się dało
i wiatr kończy czyścić przeszłość.
Dzisiejsze dni kipią
jak wrzątek w garnku,
kłębem zdarzeń i zgiełku,
płyną godziny do wschodu.
Chronią tylko okna.
Nie mam już głowy, ni sił,
lecz serce - jak stal,
skrzywiona jak jabłoń na miedzy,
głosem łabędzia
chodzę przez podwórka gwar.

ZAPACH TAMTYCH RĄK

Nieważne - Polacy, czy Niemcy
zaczęli rzeźbić twarz tej małej wsi,
w której przyszło mi żyć.
W pocie czoła szarpali kamienie,
by zostawić ślad po sobie. Zostawili,
Dziś żyjemy w tej wiosce, nie znając przeszłości
i nikt nie kwapi się, aby ją poznać.
Z przeraźliwą ciszą praca tamtych rąk,
legła w zgłiszczach, tylko pamięć o początku,
przypisują sobie kamienie,
lecz nie łamią swego milczenia.
W otchłań poszedł pałac, bruk, pękły posady,
pyły ze skruszonej cegły
unoszą się pod niebo i opadają.
W teraźniejszym wieku - niby lepszym
nikt nie sięga wstecz. Mówią -
niech śpią w ziemi wśród swoich przyjaciół.
Należałoby złożyć pokłon ludziom, czasom
minionym,
Bo to za ich sprawą mamy
wieś o nazwie Dobieszewko.
Bez historii cóż byłaby warta
Ojczyzna?

KOŃSKIM GALOPEM

Wystarczy jedno pomyślenie,
wtedy czas cofa się do tyłu,
jak rak w czystej wodzie.
Myśli biegną do chwili, gdy polskie litery
w zeszyście kaligrafowałam
i śpiewałam hymn „Jeszcze Polska nie zginęła”
z powagą, na baczość śpiewałam.
Do dzisiaj te słowa są mi bliskie,
tak bliskie jak słowa matki.
Oto inny nadszedł czas,
łubiny gasną jak świece
i kasztany na drodze przy polu - mdleją.
Końskim galopem polskość zanika
tak jak ścieżka do mego ogrodu,
tylko słowa obcojęzyczne krążą wkoło,
nie wiadomo - czy to shop czy apteka?
Czy to potrzeba przyjaźni,
a może - obłąd pychy?

GDZIE ON JEST?

Gdzie On jest?
Przez tyle lat
odmawiałam modlitwy
wszędzie, gdzie się dało,
chodziłam po drogach,
brukach, polach, lasach,
zarośniętych ścieżkach,
w dzień, w nocy,
o każdej porze roku
wpatrując się w ziemię, niebo
i nie ujrzałam nawet cienia.
Gdzie On może być?
Dlaczego milczy?
Gdy grzech rośnie na ziemi
jak ziele w ogródku -
przecież zmartwychwstał.
Gdzie mam Go szukać?
Chcę choć raz stanąć obok.
Czy nie jestem godna?
A może za dużo chcę?

ZAGUBIONE PACIORKI

Powiedz, jak mam iść na nieszpory?
Jak mam się przed Tobą wytłumaczyć
z różańca, który od Ciebie Panie dostałam?
Roztrwonilałam wszystkie paciorki,
w polu, co za plecami się czerni.
Dobroczynność już człapie jak koń u dyszla,
sroka skrzeczy, oznajmia nadejście nocy,
czarne srebro sypie się na mnie,
z komina kawki wykradły monety
i paciorków już nie ma.
Dusza czysta, ale i tak będzie ścięta
tylko dłaczego - że zaspana wypadłam
z kołyski jak dziecko?
może obroni mnie przestrzeń pól
i krzyż na ścianie domu?
Paciorków już nie mam,
z pokorą kładę ręce na Twoje kolana,
przymykam oczy i przyrzekam,
kiedy w dym będą szły jabłonie,
kiedy szkło ziemi będzie się topić,
pobiegnę z konewką do pożaru
z liściem zielonym na głowie -
bo paciorków już nie mam.

Styczeń 2011 r.

CZAS NIEDZIELNY

W czas niedzielny, gdy
księżyc już zaszedł, świt nastał,
jeszcze rosa błyszczy na trawie,
fala głów toczy się asfaltem -
idą pełni miłości, nieraz nienawiści,
odświętnie ubrani z monetą w kieszeni.
Co niedziela rano bujne wzloty wiernych,
twarda słabość, chłodny rozsądek starców
idą do świątyni z nadzieją, że może
Bóg wydzieli im skrawek raju.

W czas niedzielny - idą pobożni, wierni,
śpiewać psalmy, pieśni, modlić się
o słoneczne jutro, o kęs czarnej ziemi w polu,
na której wyrasta chleb.

W czas niedzielny
wpatrują się w bladą twarz Boga,
Maryję bez grzechu poczętą, lecz
ze skazą na policzku,
modląc się proszą o pelerynę miłości.

W czas niedzielny, w milczeniu
słuchają apostoła w haftowanym ornacie,
jak z kazalnicy wymawia słowa
zapisane w Ewangelii Świętej,
a na koniec prosi o składki i datki.
A przecież Bóg niczego nie chce,
jedynie modlitwę i miłość bliźniego...

PRÓG...

Wiejski, we wspólnocie,
jakże zdeptaną ma twarz,
codziennie zabłocone buty wyciera
i głośnie kroki liczy od rana.
Nic nie jest mu obce,
Nienawiści, przekleństwa,
skargi, wstyd i zemsta,
w duszy tajemnice skrywa,
słowa i kroki krzywe prostuje.
Szlachetnie wzrusza się,
w szacunku i skrusze,
wieczorem już cicho mówi,
by nie zarobić na...
W nocy przy pełni księżyca
prosi o cud na swój los.
Wiejski próg we wspólnocie
to stara, uboga powieść,
w której głos jest niemy i głuchy.

MOWA

Nie trzeba mieć pola,
aby jego piękno podziwiać,
ognia, by mosty za sobą spalić,
miary, by tęsknotę, nadzieję zmierzyć.
Nie trzeba bogactwa mieć,
by szczęśliwym być -
lekarzem, aby duszę wyleczyć,
niepotrzebna strzała, by serce zranić,
drogi znać, by do nieba trafić
i wiązać węzły, aby ludzi łączyć.
Nie trzeba rozumieć śpiewu słowika,
aby się zachwycić.
Na pewno trzeba rozumieć mowę ludzką,
słowa obłudne, co kłamią,
które mogą zabić.
Gdyby tego nie rozumieć to...

ŻYCIE ULATNIA SIĘ

Życie ulatnia się jak dym,
echo z dna serca łapię,
tylko nie wiem, czy Bóg jest ze mną?
Podpieram się białą kartą,
szpary szyb zatykam słowami,
by nie uciekła muza
i nie zatracić nadziei w ludziach.
W szarej rzeczywistości, w prostocie słowa
jest ukryty mój czar słodki i mocny,
dla innych całkiem obcy.
Niech się ten wiersz toczy
jak jasne spojrzenie w oczy -
prosto jak podanie ręki.

NIE ZAKWITNĄ DNI

Mętne niebo, szare mgły
a maszyna pędzi
niby halny po szczytach gór
i ludzkie serca rozdziera
rozpaczliwym jękiem swym.
Kręca koła jak szalone
prosto w otchłań, prosto w cień
wokół ziemia i drzewa drżą
rośnie pustka, rośnie lęk.
W tym zamęcie czarnych kół
Śmierć pożera żrenicami -
los pomszczony swój lub innych
i młodego życia
już nie zakwitną dni.

SPIS TREŚCI

Serce nadgryzione nadzieją (Czesława Długoszek)	5
---	---

Żurawi krzyk

Temat... ..	11
W wielkiej sprawie	12
Zaczęło się	13
Serce nadgryzione nadzieją	14
Spacer brzegami... ..	15
Na kresce horyzontu	16
Ktoś znikąd... ..	17
Żurawi krzyk	18
S.O.S	19
Cyrograf	20
Prości ludzie	21
Zaorane miedze	22
Scalone pola... ..	23
Klepsydra	24
Dlaczego?	26
Ile zostało... ..	27
Miało być... ..	28
Idzie człowiek... ..	29
Kim jest ten człowiek?	30
Łupy... ..	31
Duży ptak	32
Prostaczek	33
Pytania... ..	34
Drzewo historii	35
Polska ziemia	36
Bezrobotna... ..	37
Pamięć	38
Bezradność	39
Baśniowy dźwięk... ..	40
Kiedy nadejdzie ten dzień?	41
Czworaki	42

Brzemie życia

Życiorys	45
Tego chcę	46
I znowu stoję	47
Jestem mała	48
Za mało - za dużo... ..	49
Moja nadzieja	50
Życie wędnie	51
Cisza	52
Moja krewna... ..	53
Ogromny mój świat	54
Życie w dole	55
Gdybym... ..	56
Twarze	57
Podróż	58
Nie wołaj mnie	59
Już nigdy... ..	60
Trzymam w dłoni... ..	61
Jak pisać... ..	62
Zegar	63
Wyrok Boży	64

Wiersze rozproszone

Czyja to wina?	67
W pamięci... ..	68
Gwar... ..	69
Zapach tamtych rąk	70
Końskim galopem	71
Gdzie on jest?	72
Zagubione paciorki	73
Czas niedzielny	74
Próg... ..	75
Mowa	76
Życie ulatnia się	77
Nie zakwitną dni	78



„Krzywda” jest trzecim tomem wierszy Anny Karwowskiej. Poetka pozostała wierna tematowi, czyli sprawom, które zna i rozumie, o których pisze szczerze i prosto. „Wydawać by się mogło, że kto opiewa w wierszach miniony PGR, kto skończył naukę

na podstawówce, sypie częstochowskimi rymami. Ale nie, wcale nie.” - pisała o poetce z Dobieszewka Barbara Pietkiewicz w „Polityce”. Kreowany przez Annę Karwowską świat przedstawiony, nasycony realiami codziennego życia, został osadzony w konkretnej przestrzeni geograficznej, przyrodniczej, społecznej, rodzinnej, osobistej. Motywy splatają się, słowa nabierają nowych znaczeń, język codzienny podlega metaforyzacji, a prosty biały wiersz nienumeryczny staje się wołaniem, oskarżeniem, manifestem.

Cz. Długoszek